



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Nowa kwestya wychowawcza.

(Dalszy ciąg.)

Pierwsza z broszur szwedzkiego pisarza: *Ważność pracy rękodzielnej w wychowaniu*, ma na celu wyłącznie wychowawców klas wyższych. Palmgren widzi w tejże pracy czynnik wychowawczy wielkiego znaczenia dla edukacji moralnej. „Praktyka pracy rękodzielnej obok ćwiczeń umysłowych rozbudza inteligencją wychowawca, usuwa nudy, nastęrcza zajęcia pożyteczne i przyjemne wespół z rodziną: oto założenie, z którego wychodzi. Taksamo, jak u Klaussona Kaas, nie ma to być nauka specjalna pewnego rzemiosła, ale wyrobienie ręki w rozmaitych gałęziach pracy rękodzielnej, według chęci wychowawca i obudzającego się następnie zamiłowania, oraz zdolności, co jeszcze i poza szkołą, już w życiu jednostki dojrzałej, dobroczynny wpływ wywierać będzie, dając po znużeniu pracą zawodową wytchnienie, przywiązujące do domowego ogniska i broniące od tego, aby rozmaite przyjemności, poza domem znajdowane, nie zabierały zbyt wiele czasu z życia rodzinnemu i jego obowiązkom. „Wprowadzenie pracy rękodzielnej między zajęcia klas wykształconych, jest najlepszem lekarstwem, ubezpieczającym tak fizycznie jak moralnie zdrowie, na którego brak tak ogólnie dziś się skarżymy. Przywróciłoby to ciału jedność, duchowi elastyczność, nadałoby krwi świeżość, nerwom giętkość pożądaną” — pisze Palmgren, a gdy się pomyśli o tych tysiącach ludzi, wracających do domu po dniu pracowicie spędzonym w biurach, kantorach, kassach — ludzi nieusposobionych i z natury swej niezdolnych do wyższych rozrywek, do estetycz-

nych czy literackich zajęć, a zresztą potrzebujących takiego wypoczynku, wśród którego umysł już-by nie nie pracował, pragnie się dać głos za szwedzkim pedagogiem. Co ojców rodzin, pozostających u domowego ogniska obok żony i dziecił co opustoszałych piwiarni, winiarni, cukierni i stołów kartowych! Ale z drugiej strony należy sobie przypomnieć niewątpliwie słuszną uwagę kasselskiego kongressu, że naukowe wymagania naszego czasu, rozszerzony niezmiernie zakres wiedzy, obowiązującej przecież człowieka wykształconego, już na uczące się dziecko taki ciężar pracy wkładają, że nie tu dodać, nie dorzucić nie można, aby nie było zanadto. To, co dobrem było za czasów Rousseau'a i jego *Emila*, już dziś dobrem być nie może, a bodaj czyby złem nie było? Szkoła zatem, przeznaczona dla dzieci klas wykształconych, już nowych gałęzi nauki, nowych godzin wykładu w programat swój wmięszczać nie może, i rodzina tylko powinna myśleć dla dziecka o tem, coby „ciału jedność, duchowi elastyczność, krwi świeżość, nerwom giętkość“ przywróciło.

Nie mylił się też kongres kasselski, gdy wprowadzenie pracy rękodzielnej w wychowanie młodzieży klas wykształconych zrobił domową sprawą wychowania. Wakacje, rekreacje, wreszcie tygodziny dnia każdego, w których uczeń dla względów zdrowia i odpoczynku, należącego się szczególnie młodemu umysłowi, musi książkę na bok odłożyć, to jest czas na ową „wprawę ręki“ — na wyrobienie zręczności technicznej. Palmgren pisze, że wychowanek, zajmujący się pracą rękodzielną, przywyka do porządku i ładu systematycznego, życie w rodzinie budzi w nim zajęcia ogólniejsze; chłopiec staje się bystrzejszym, uważniejszym na wiele rzeczy, więcej rozumuje i rozważa, — co, naturalnie, przynosi za sobą uczucie wewnętrzznego zadowolenia. Zyskuje też odpowiedni jego umysłowi przedmiot rozmowy poważnej i użytecznej; pojęcia jego modyfikują się i układają w sposób inny, niż

u dzieci zajęcia takiego pozbawionych. Kiedy tamci myślą poza nauką tylko o figlach i igraszkach, o wybrykach rozmaitych i sztucznych, które płątają nauczycielom, a nieraz i rodzicom, uczniowie, którym daną jest sposobność do pracy rękodzielnej, rozmawiają między sobą o swoich robotach, o trudnościach przewyżczonych i wynikach otrzymanych. Między korzyści wynikające dla dziecka z pracy rękodzielnej, wmięszcza Palmgren to, że „wychowanek zabiera się po niej z większą przyjemnością do nauki“; lecz to mogłoby chyba nastąpić przez wpływ urozmaicenia zajęć i należytego wypoczynku, danego umysłowi; przecież korzyść taką sprowadzać może każda dobra rozrywka, przechadzka, gra wesola z towarzyszami. Możliwość się przeciwnie obawiać, aby dzieci mniej umysłowo zdolne, którym praca naukowa szła by tępo, trudniej niż rękodzielna, nie odrywały się szkodliwie od pierwszej. Ignąc zbyt mocno do drugiej. Ale to już jest rzecz przewodników i rodziców, aby równowaga potrzebna zachowaną została; w każdym zaś razie lepiej jest, aby chłopiec nieuk o dółku, heblu i tym podobnych przedmiotach marzył, niż gdyby umysł jego leniwie drzemał, lub zajmował się głównie owymi figlami i wybrykami, o których szwedzki pedagog wspomina. Niemniej godność nauki powinna być koniecznie, nieodwołalnie przed umysłem wychowanka na właściwym jej stopniu postawiona.

Owe hasło Juliusza Ferry: — „Ennobler le travail manuel!“ nie znaczy przecież zniżenia idei wiedzy naukowej i światła, które ma horyzonty myśli rozświecać, musi stać wysoko i dostojności swojej uznanie odbierać. Dziecku trudniej jest zrozumieć wysokie znaczenie nauki, niż dotykany pożytek, który z owoców pracy fizycznej wypływa: trzeba mu zatem wykazać, w sposób oile można zrozumiały i przystępny, wysoką rolę światła, „przy którym duchy się grzeją“.

Palmgren, wlicza to także do pożytków pracy

rękodzielnej, że skoro zostanie wprowadzoną między zajęcia klas ukształconych, „rozerwie te przegródki, które uważano, że istnieć powinny, aby rozdzielały klasy wyższe od niższych, *pana uczonego od robotnika*“. Lecz jeżeli nie należy, nie godzi się mówić dziecku, że nauka czyni *panem*, to trzeba mu powiedzieć, że nauka czyni *mędrcem* i że rozświeca umysł i świat przed oczyma rozszerza, że czem wyższa wiedza, tem wyższa godność, bo ona-to zdobywa ludzkości dobra najdroższe: rozwija rozum człowieka, budzi pragnienie doskonałości, zbliżając do prawdy, prawa moralne społeczeństwu ludzkiemu nakreśla.

Druga broszura Palmgrena: *Praktyczna szkoła pracy dla dzieci i młodzieży* to zbiór rad i wskazówek, jak praca rękodzielna pedagogicznie nauczaną być powinna. Stoi on na czele założonej przez siebie w Sztokholmie szkoły, zadaniu temu odpowiadającej, którą otworzył dnia 16 Października 1876 r., „w celu, aby gust do prac rękodzielnych rozwinał się między klasami zamożnymi“. Aby to nastąpić mogło, żąda, aby każda szkoła miała swój mały warsztat, kędyby uczęszczający do niej uczeń, mógł się obeznać z młotkiem, piłą, heblem, dłutem, kleszczami—czyli, nauczył się władania narzędziami, któremi drzewo i żelazo obrabianem bywa.

To dla chłopców; Sztokholmska szkoła pracy rękodzielnej ma przeciw swój oddział żeński, i tam na dziewczęta czeka: igła, druty, nożyczki—roboty drutowe, szycie bielizny, haft i krawiecczyzna. Tu powiedzieć-by można, pod wrażeniem pierwszym, że kwestya jest od wieków przesądzoną i utartą, ale byłoby to twierdzenie mylne. W ostatnich czasach, gdy wyższe ukształcenie kobiety stanęło na porządku dziennym wychowania, poczęły się podnosić przeciw robotom ręcznym dziewcząt zamożnych głosy liczne. Oskarżano je głównie, że wtrącają kobietę w bezmyślność i jeszcze Tańska odpowiadała, że można przy wielu robotach takich bardzo spokojnie i poważnie myśleć. Następnie z koła *Entuzyastek*, i z koła szlachetnej młodzieży, która znała je i ceniła wysoko, podnosiła się też protestacja, szczególnie przeciw tak zwanym robotom pięknym: „robotom nieużytecznym“. Szyć koszule, robić pończochy, a choćby, jak staropolskie matrony, praść—to przynajmniej praca, która komuś pożytek przyniesie; ale te roboty kanwowe, przy których trzeba w ogłupiający sposób krzyżki wciąż liczyć, a te hafty bez końca, dziergane ząbki, koronkowe kratki! Na co to komu potrzebne? Gładki płócienny kołnierzyk, tak jak pasek skórzany, wszedł między *Entuzyastkami* w modę, jako protestacja przeciw trwonieniu na haft czasu, którego można użyć lepiej na naukę, na czytanie, na oświecanie umysłu swego i innych, na zajęcie się ludem wiejskim, szkółką, ochroną.

Hasła były szlachetne i wzruszały serca młode; to, co kielkowało nieśmiało w niejednej piersi dziewczęcej, odważało się podnieść i zażądać prawa bytu choć w cichości i tajemnicy. *Entuzyastki* wraz ze swymi przyjaciółmi, z entuzyastami, rozproszone zostały przez życie, przez fale wypadków, ale ziarno ich pojęć zostało w grunt rzuconem, tradycya o nich szła: spotykało się z nią pokolenie nowe nadrastających kobiet. Chociaż społeczeństwo nasze od epoki *Entuzyastek* aż do chwili, którą dla wypukłości oznaczyć-by można datą Wojny Krymskiej nie zagłębiało się szczególnie w myślach, nie rozbiegało kwestyi ani wychowawczych, ani społecznych, a głównie bawiło się, jednak echo głosów zamikłych odzywało się z pewnych zagłębień dusz czujących. Starsze panie grały w karty i dziergały szydełkowe serwetki, młodsze tańczyły i haftowały—taki przynajmniej był nazwętny wygląd rodziny w klasach zamożnych; lecz mężczyźni wyższego ducha, wyższych umysłów nie przestawali żądać od kobiety, aby się stała czemś innem i wiem o małżeństwie takim, gdzie mąż na drugi dzień po ślubie zabrał młodej żonie naszykowany zwój batystu, prosząc, aby znalazła sobie zajęcie inne, „niż robienie dziurek w całym“. Odnosiło się to do modnego wówczas haftu angielskiego i było bardzo dowcipną jego definiacją, było zarazem zwróceniem myśli kobiecie na ten tór, że jej, młodej i zdrowej, należy przeciw podjąć jakąś rzeczczwistą i do czegoś

prowadzącą, pożyteczną pracę życia. Radzący to nie mylił się zatem co do moralnej wartości rady swojej, lecz człowiek poważny i rozumny, żądając od towarzyski życia, aby i ona stanęła na gruncie poważnie pojętego istnienia, zbadał usposobienie jej i siły: dając w miejsce skonfiskowanego batystu klucz od biblioteki, dobrze wybrał bo chęci i skłonności umysłowe były po temu, że książka, kształcenie naukowe mogło mieć miejsce z pożytkiem. Ale nie we wszystkich rodzinach rzecz odbywała się z podobną rozważą i namysłem rozumnym. Szlachetni myśliciele żądali dla kobiety podniesienia się umysłowego i rzeczywistego celu w życiu—pracy, któraby nie była fikcją, pracowitem próżnowaniem, ale dla rzęsy mniej głęboko myślącej, dla ludzi powierzchownych, ślizgających się tylko po powierzchni słów i rzeczy, wynikło z tego najpierw, że roboty ręczne zostały zdeskredytowane w pojęciu znacznej liczby kobiet. To, czem chwaloło się niedawno, co miało wykazywać w młodej pannie cenny przymiot pracowitości, teraz wydało się ponizającym kobietę, strącającem ją do rzędu istot niższych. Zaczęto zarzucać roboty piękne, nie biorąc się jednak do robót użytecznych, które tylko chwilę jakąś,—chwilę, możnaby powiedzieć przejściową, używały wziętości u kobiet, pragnących łączyć się z ruchem myśli podnioslejszej. Stało się to nawet przez moment jakiś rzeczą modną, aby z kawałkiem prostego płótna siedzieć w salonie, i o mało co nie wniesiono tam kołowrotek; ale zabawka to była, nie rzecz idąca z przekonania, więc efermerda dobrych zachcianek uleciała wkrótce, a pozostała panująca między większością pogarda robót ręcznych i wogóle lekceważenie pracy kobiecej wszelkiego rodzaju. W oczach kobiety, której już nie przedstawiano tego jako enoty, aby była pracowicie na niewieści sposób zajęta, robota ręczna straciła dawny urok; nie była wreszcie kobieta do niej włożoną, nie wyrobiła w sobie cierpliwej w tym kierunku zdolności,—bo matki, które słyzały jedynie ciągle nawoływanie, aby córki uczyły się więcej, które widziały przytem, że na targu swiata, na *targu próżności* nie wiele już popłacają pajęczce siatki, szydełkiem snute i haftowane ząbki falbanek, nie przyuczały do tego córek, nie naginały ich od młodu do siedzenia nad robotą ręczną. Przytem pewne ekonomiczne ocenianie pracy zaczęło się do tego łączyć. Istnieje przysłowie, że zanim kobieta wyhaftuje ptaszka, zje wołu; z kolei rozciągnięto to jako zasadę i do przerobów gospodarstwa kobiecego; na wsiach mężowie poczęli kassować wiele gałęzi dawnej pracy kobiecej, dowodząc, że więcej się na niej traci, niżeli zyskuje. Znać kobieta nie umiała produkować tanio, nie umiała produkować w warunkach nowych stosunków społecznych; mężczyzna był poniekąd obowiązany wskazać jej do tego drogę, nie zrobił tego przecież, może sam nie wiedząc, jak jej szukać; i nie chcąc łamać sobie głowy nad tem, jak nie łamał jej i nad innymi życia trudnościami: i wynikło z tego razem ogólne lekceważenie pracy kobiecej a w zapędzie ekonomicznego jej oceniania zaczęto ważyć każdy jej przedmiot na szali wartości, jako wyrobu przemysłowego. Za czasów entuzyazmu, wołano na kobietę, aby się zrzekła zbytków i elegancyi na korzyść wyższych, szacowniejszych nabytków, aby zajęcie swoje w tym kierunku przerzuciła na pole pracy ważniejszej i surową prostotę życia uczyniła prawem swoim. Mówiono jej wtedy: Noś suknię gładką, noś kołnierzyk prosty, a czas którybyś zużyła na zdobienie ich kunsztowne, poświęć szlachetniejszemu, wyższemu trudowi myśli, który podniesie cię i udostojni a społeczeństwu da w osobie twojej lepszą, użyteczniejszą obywatelkę. Teraz przecież odzywano się do niej z punktu innego zupełnie:—Kołnierzyk twój potrzebujesz haftować przez miesiąc: oblicz czas, wedle ceny najniższej nawet, a przekonasz się, że kosztuje cię wiele drożej, niż gdybyś go kupiła.

— Tamten jest maszynowy—odpowiadała biedna, lecz nie był to argument żaden: wedle przyjętej zasady rachunku był on tańszym niewątpliwie i musiała schylić głowę. I tak dalej, tak dalej, słyszeć było można często, jak kobietom, które jeszcze umiały i chciały robić roboty drutowe powtarzano to samo:—Czy to warto tyle roboty,

gdy po odtrąceniu kosztów materiału, cała praca przedstawi zarobek kilkunastu groszy?... Zapomniano zwrócić na to uwagi, że rodzina nie chce i nie potrzebuje konkurrować o lepsze z fabryką, z maszyną, że wyrabia na wyłączny swój użytek a owe „kilkanaście groszy zarobku“ na każdym przedmiocie domowej potrzeby utworzy razem sumę poważną, która zacieży na budżecie rodziny—zapomniano o tem zgola i sądzono jednostronnie, jak zawsze bywa, gdy nowe idee wyrabiają sobie miejsce w umysłach. Zapomniano przytem, że nie sama tylko ekonomia rządu stosunkami ludzkimi, że rzeczy mają także wzgląd swój moralny: aż stało się w końcu to, że z jednej strony gospodarza praca kobieca, z drugiej praca jej ręczna, coraz niżej spadały w szacunku ludzkim, i przestała je cenić kobieta sama. Jedni jej wykazali, że pracuje darmo, drudzy, że pracuje nisko. Zapragnęła się więc podnieść i poczęła otrząsać się z trudu, którego owoce były tak lichy, że nie uważano ich za nic.

(Dokończenie nastąpi.)

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Władysław w swoim saloniku chustając się na biegunym fotelu, czytał, a raczej marzył, trzymając książkę w ręku. Do otwartych okien przypadał zdyszany Paweł.

— Wielmożny panie—mówił chwytając w płuca powietrze—państwo żurawińskie tylko co przejechało na Zabełcze. Jakiś obcy pan—kasztanami z panienką. Ale-ci konie, wielmożny panie!

— Zkąd-że wiesz, że na Zabełcze?

— Sam dziedzic pytał mi się: czy dobra droga na Zabełcze? i kazał się panu pokłonić. Przecie głupi nie jestem.

— Paweł, ty masz rozum.

— No, to dziękuję wielmożnemu panu.

— Oczyść karego, osiodłaj i przyprowadź. A nie zapomnij o nowym czapraku.

— No, no — niech wielmożny pan będzie spokojny.

— A więc kończmy rozpoczęte dzieło — rzekł z miną Scypiona pod murami Kartaginy. — Przebaczyłbym, gdyby zamiast mnie, biednego dzierżawcy, wybrała kogokolwiek, lecz, na Boga, nie porucznika — czerwonego porucznika z czworograniastym siwiejącym łbem, ostrzyżonym przy samej skórce, dla którego gwiazdki na kołnierzu, są jedyną cechą wyższości ludzi...

Biada jej!

— Widzi wielmożny pan, jak to kary łeb wściubia do okna i raduje się, że ujrzał swego pana—odezwał się Paweł.

— Okulbacz sobie drugiego konia i jedź za mną. Tylko pamiętaj trzymać się zdaleka, nie najężdżać.

— Przecie głupi nie jestem—odparł z jednakim zawsze spokojem Paweł.

Na zakręcie Wisły wytworzyła się odnoga, w której woda przelewała się głośno, skarząc się rzewnie na swą dolę. Lud nazwał to miejsce Zabełczem; a że panująca nad niem wyniosłość otoczona była staremi dębami, wysłana miękką darnią i puchami mechów: nie dziw, że wabiła do siebie swym urokiem i pięknymi widokami.

Poza Zabełczem rozciągały się łąki, należące do dzierżawy Władysława. Młodzieniec miał wybory pozór do przejechania tamtędy. Postanowił przywitać się zdaleka, popatrzeć na porucznika, uśmiechnąć się i dalek pojechać.

Projekt się nie udał, bo gdy go tylko zobaczył p. Edward, pobiegł, zmusił go, aby zsiadł z konia i poprowadził w tryumfie do towarzystwa, pomimo, że Belcia była chmurna a Gucio nie kontent.

— Któż to taki? — spytał porucznik.

Pani Balbina chciała powiedzieć: nasz sąsiad dzierzawca. Zapomniała jednak o sąsiedzie i szepnęła:

— Nasz dzierzawca.

— Porucznik zmarszczył lekko brwi, okazując swe niezadowolenie grymasem ust. Nie dość, że młody człowiek był cywilem, ale jeszcze dzierzawcą!

Wprawdzie porucznik był synem urzędnika skarbowego, lecz to tak dawno się stało, że miał czas o tem, zwłaszcza po ożenieniu się, zapomnieć.

Pani Balbina, widząc marsa na czole porucznika, postanowiła również nie zwracać uwagi na przybysza. Została Jadwiga—której znalezienie się stanowiło o złem lub dobrem przyjęciu młodzieńca.

Zobaczywszy go, zbladła, za bladłością przyszły rumieńce, lecz i te znikły. Obrażać się lub gniewać, znaczyłyby przyznawać się do przegranej. Musiała więc powitać go tak, jakby nic między nimi wczoraj nie zaszło. Przeczynał to p. Edward i dlatego należał.

— Chodź, chodź, Kochany panie Władysławie—mówił cicho.—Porucznik świetnie powozi, zna drzewa genealogiczne stu ogierów w Galicyi, — lecz my się na tem nie znamy.

— I ja również.

— Dlatego też będziemy się bawić sami.

Nie było czasu na odpowiedź.

— Traf, czy dobre instynkta sprowadzają paną — mówiła wesoło Jadwiga.

— Traf porozumiał się z instynktem i wiedli mnie zaczarowanymi ścieżkami — odparł młodzieńiec.

Porucznik przy powitaniu za ledwo kiwnął głową dzierzawcy—chcąc tem zadokumentować swe arystokratyczne stanowisko. P. Balbina silnie zmrużyła płowe swe oczy, lecz na te objawy nikt nie zwracał uwagi.

Gucio nie raczył się podnieść. Władysław również się do niego nie zbliżył.

P. Jadwiga, czy-to żeby zatrząść w umyśle młodzieńca wczorajsze rozdrażnienie, czy też może dla podrażnienia porucznika, a kto wie, czy nie znudzona nim już, oddała się z całą swobodą i rozkoszą towarzystwu Władysława i ojca. P. Balbina z Guciem usiłowali bawić Marsa, który był nieco gniewny i osowiały. Parę razy wtrącił się do rozmowy, chciał być dowcipnym, a nawet sarkastycznym; zwracał się do Władysława; za każdym razem, jednak dostawał, w delikatny sposób, ale tak stanowczą, odpawę, że aż p. Balbina rumieniła się z oburzenia; Gucio usta zaciskał. Porucznik, zgębiony, zapadł w głęboką zadumę.

— Dostę już tego — szepnęła matka, spojrzawszy groźnie na córkę i męża i powstała, podając rękę Guciovi. Niepodobna było pannie Jadwidze zostawiać porucznika jego losowi; gra mogłaby być hazardowną, należało przytem zemścić się i na Władysławie.

— Panie poruczniku, podaj mi pan ramię, idziemy na Wysoką. W niebezpiecznych przeprawach, jak i w ważnych chwilach życia, radę powierzamy swe losy wojskowemu—powiedziała z ujmującym uśmiechem, któremu towarzyszyło długie spojrzenie.

— Ma pani racya—odparł porucznik z dumą.—Poszli wąską ścieżką na górę: p. Balbina z Guciem, porucznik prowadził Jadwigę. U wejścia do lasu Władysław pożegnał p. Edwarda. Mimo jego protestów, zbiegł na dół, dosiadł konia i odjechał przez łąki do domu.

— Wszystko stracone, prócz honoru!—zawołał dramatycznie. Jadwiga podobna do stu innych. Co ona będzie robić w pałacu i parku, z porucznikiem? Życie całe przepędzić w jego towarzystwie: na to trzeba bohaterstwa.—Zamyślił się.

Kochasz ty ją jeszcze? — Na odpowiedź rozśmiał się głośno. — Zle umieszczasz swe serce, nie wiedząc co z niem zrobić. A jednak ile ta dziewczyna ma czaru, ile myśli szlachetnych przesuwa jej się przez głowę! Spryt, rozum, dowcip, piękność—wszystko to dla tego o czworor-

graniastym łbie brysia. Jakie to niskie, małe, wstrętne! — I ty ją jeszcze ubóstwiasz? a może i dziś jeszcze kochasz?

— Nie, nie — zawołał — puszczając się galopa. Dziś potrafię się tylko mścić i mszczę się świetnie. Dobrze ci tak, powinienes znać stosunki w kraju, którego synem jesteś, i ludzi, z którymi żyjesz. Sentymentalizm przy dobrze prowadzonym rachunku i gotowości sprzedania się! Tak jest i tak być musi w narodzie, który mało liczy na siebie, na swe siły; nie umie pracować i tworzyć.

Wiele jeszcze w tym rodzaju wydekłamał apotrof, zanim do domu zjechał. Obrażona miłość własna i zawód, snuły w myśli jego pesymistyczne obrazy.

Po oddaleniu się dzierzawcy, który panował swym dowcipem i wyższością, porucznik znikodetchnął, nabrał pewności siebie i wymowy.

Nazajutrz rano porucznik z Guciem wrócił do Krakowa.—I nie oświadczył się.

Pani Balbina rozpaczala; małżonek milczał, lecz ręce zacierał z radości. P. Jadwiga była zamysłona i poważna.

Porucznik miał dosyć czasu,—tego był przekonania—do zrobienia drugi raz głupstwa. Żurawno podobało mu się, postanowił jednak przejrzyć hipotekę i przekonać się, ile weźmie posagu. Że podbił serce dziewczyny—nie wątpił, lecz, że zadarmo nie myślał sobie zawiązywać świata, to rzec pewna. Byli porucznicy armii, a szczególniej porucznicy od kawalerii, wysoko się cenią.

V.

Porucznik na zasadzie, że ma czas, nie spieszył się z wizytami do Żurawna.

— Niech troszkę potęskni, popłacze: z tem większą radością witać mnie będzie. Z kobietą jak z koniem: nigdy zbyt wiele poufałości; gładkać, pieścić, ale cugle krótko trzymać w garści.

Zasmiał się siwiejący Mars ze swego dowcipu, uderzając się rękami, zwyczajem Marsów siedzących na koniach, o uda, odkryte jelenią skórą.

Władysław, po skończonych siewach, wyjechał do siostry na Pokucie.

— Gdy wrócę, Jadwiga pewnie już będzie zaręczoną z porucznikiem. Wszystko się ułoży do harmonii, wróci do zwykłego trybu życia. Ja nie będę dramatyzował swego stanowiska; dziewczyna nie będzie potrzebowała wstydzić się przedemną swego adonisa i mścić się, za ten swój wstyd, na mnie.

Jadwigę gniewała zimna krew raczej dyplomaty, a nie rycerza, jaką okazywał porucznik, chociaż w duchu cieszyła się, że stanowcza chwila jeszcze nie nadeszła. Również gniewał ją wyjazd Władysława.

— Powinien zostać, cierpieć i rozpaczać — myślała.

Pan Edward, smutny i nie swój, czekał niecierpliwie pierwszego.

Jedną p. Balbina skarżyła się głośno na filozofującego dzierzawcę, na męża—za to, że go sprowadził, na córkę — że się nim tylko w obecności porucznika zajmowała.

Zanosilo się już na zwykłą sprzeczkę małżeńską, kiedy wszedł posłaniec z poczty. P. Balbina pochwyciła listy od przyjaciółki i Gucia, wraz z dziennikami mój, zostawiając p. Edwarda na werendzie, z resztą gazet i listów. Jeden z nich, w zielonego koloru kopercie, z kwadratową dużą marką, wyobrażającą jegomościa w faworytach, zaintrygował go. Wpatrywał się w kopertę uważnie.

— Od Ludwika, z Ameryki — szepnął.— Serce zaczęło mu bić, na twarz wystąpiły rumieńce.

— A może to właśnie zbawienie, które przeczuwałem, którego się spodziewałem i na które czekam.

Braciszek sprytny, rozumny, przebiegły.... Interessa wielkie—miliony.

Nie kończąc, pochwycił list, dzienniki i pobiegł z niemi do swego pokoju.

Przed Balcia i Jadzią tajemnica.

Drżącymi rękami rozerwał kopertę, nasadził kukiera i czytał:

Waszyngton d. 3 Marca.

Kochany Edwardzie!

„Pisywać bez ważnych powodów i racyi, przyznasz sam, że szkoda czasu; dlatego-to tak długo milczałem. Nareszcie, dwadzieścia lat rozłączeni, straciliśmy wzajemne czucie. Odmienne zajęcia, interessa—odmienne wywołały stosunki.

— Bardzo naturalnie — rzekł poważnie p. Edward.

„Wielkie powodzenia lub wielkie klęski oddziaływają magnetycznie na rozproszonych członków jednego gniazda: zaczynają tęsknić za sobą, szukać choćby myślą blizkich im, aby się z nimi dzielić radością lub nieszczęściem.

— Z pewnością—poświadczył p. Edward.

„Lat temu parę umarła mi żona. Zostałem sam na bożym świecie, z jedyną córką Stanisławą. Dodaj do tego finansowe niepowodzenia, bankrutstwo firmy, której przeważnie powierzyłem zarobione kapitały, tęsknotę za krajem, chęć odpoczynku na starość we własnym gnieździe i utrwalenie losu jedyne dziecko.

Pan Edward zbladł, lecz czytał dalej.

„Wracam. — To, coś dorobił, jest twoje. Racunku i procentów nie wymagam, lecz połowa gruntu Żurawna i połowa zabudowań jest moja. Ściągnawszy resztki mojej fortuny, będę miał jeszcze na podróż i wybudowanie dworku. Resztę powinna dać ziemia i praca moja i mej córki.

„Za tydzień wyjeżdżamy do Nowego-Yorku, dalej statkiem parowym do Southampton — i—przez Londyn i Paryż, które-to miasta chce poznać Stasia, wracamy do Krakowa.

„Córka moja mówi dobrze popolsku, marzy o rodzinnym kraju swego ojca, idealizując go. Mam nadzieję, że jej nie rozczarujecie.

„Drogi Edwardzie, boję się, czym ci przykrości nie zrobił. Pewno się przyzwyczaiłeś uważać całą Żurawno za swoje. I byłoby twojem niewątpliwie, gdyby nie fatalizm, a raczej rządząca ręka Opatrzności: widzisz, w Ameryce wróciłem do wiary ojców. Wolne to społeczeństwo stanowczy wywiera wpływ na nasze myśli i uczucia.

„Ściskam cię serdecznie, rodzinę twoją pozdrawiam“.

Ludwik.

Na końcu listu znajdował się dopisek ręką kobiecą skreślony.

„Drżę z niecierpliwości poznania kraju i rodziny mego ojca, którą Kocham“.

Stanisława.

P. Edward położył list na stole, zdjął kukiera i, jakby był w lunatycznym śnie, nie umiał sobie zdać sprawy z odebranych wrażeń. Przed oczami jego duszy przesuwały się wielkie miasta w Ameryce, wzburzone wody oceanu, statek parowy prujący fale, Londyn, Paryż.

Wbiegła żywo p. Balbina, za nią weszła Jadzia.

— List od Gucia wesoły i zabawny. Porucznik spoił mi chłopca. Wyobraź sobie: szampanowali w pięciu do drugiej. Porucznik wznosił zdrowie Jadzi, a przed Guciem się chwalił, iż na Zabełczu tak zmiażdżył swoim dowcipem dzierzawcę, że tek poprostu—aż uciekł.

— Zwycięstwo austriackie — szepnął p. Edward.

Jadzia się zarumieniła.

— To już mniejsza—mówiła dalej p. Balbina,—Jeżeli tylko w to wierzy, tem lepiej.

Przed Guciem unosił się nad pięknnością Jadzi. Dziwił się, że nas nie zastał w Krakowie... A więc nic nie jest jeszcze stracone.

— Któż mówił, aby miało być stracone.

— Ja—rzekła z powagą p. Balbina, albowiem ile razy się do nas szczęście uśmiechało, zawsze jakiś fatalizm czy też zły duch odpędzał je.

— Jadziu, cóż ty na to? — zapytał p. Edward.

— Ja, drogi ojcie, nie uważam oświadczenia się o mnie porucznika za wielkie szczęście. I im się to później stanie, tem mi będzie przyjemniej.

— Dziecko! co się tobie marzy? — zawołała pani Balbina. Czy to porucznik młodzik, aby mu wolno było czekać lata?

— Matka ma racya—poświadczył p. Edward.

— Pierwszy raz w życiu—szepnęła p. Balbina.

— Należy—mówił ojciec—wyteńczyć wszystkie

siły, aby porucznik oświadczył się jaknajprędzej — dziś—jutro....

— Cóż się stało? — pochwyliły matka i córka.

— Macie — podał im list Ludwika.

Obie kobiety, pochylone, czytały chciwie. Po chwili ręce p. Balbiny zaczęły drżeć. Jadwiga, meźniejsza, przytrzymała list.

P. Edward z podpartą głową na rękę dumał.

Skończyły — papier wypadł im z rąk.

— Tyś mnie zdradził, tyś mnie oszukał, tyś mnie uwiódł! — zaczęła wołać zrozpaczona Balcia.

Na ustach p. Edwarda, jak ostatni błysk lampy, przemknął uśmiech i zgasł.

Jadwiga blada — poważna, stała nieruchomie.

— Gdybym wiedziała, że masz brata....

— Moje dziecko, wiedziałas o tem — przerwał jej mąż.

— Gdybym przeczuła, że ty, jak zagonowy szlachcic, siedzisz tylko na cząstce swojej wioski.

— To cóż?

— Nigdy-bym za ciebie nie poszła.

— Ależ, Balcu, piętnaście tysięcy guldenów twego posagu zawsze są do odebrania. A racz sobie przypomnieć, że cząstka moja dziś jeszcze warta siedmdziesiąt.

— A moja młodość zmarnowana — zawołała Balcia.

— Chciałas powiedzieć: przebawiona. A nareszcie, czyż młodość twą i piękność chcesz obliczać na gotówkę?

Balcie, zrozpaczona, usiadła szepejąc:

— O Boże, Boże, zmiłuj się nademną.

— Radziłbym rozpacz zostawić na wolne chwile — odezwał się spokojnie p. Edward — a teraz ułożyć plan działania. Musimy się przecie ratować.

— Ale jak? czym? — odezwała się mdlejącym głosem.

— Zaraz, zaraz, tylko powoli, moja Balcu — z rozważą i zimną krwią.

— Jesteśmy zruinowani, nie mamy nic, w przyszłości widzę biedę, nędzę.... Bóg ciężko mnie na stare lata dotknął.

— Moja droga mamo, nie potęgujemy nieszczęścia, które i bez tego jest wielkie. Nie upadajmy pod jego brzemieniem, lecz brońmy się. Ojciec podaje radę.

— O, ty zawsze spiskujesz z ojcem przeciw matce — odparła z mocą.

Nie było odpowiedzi. W tak ważnej chwili ani p. Edward, ani Jadwiga nie chcieli przedłużać dyskusji.

— Balcu, czy pozwolisz mi mówić spokojnie?

— Bo nareszcie: któż ma mówić, bronić się i decydować?

— Dziękuję ci. Majątek nasz zmniejszył się o połowę.

— Zapomniałeś o Towarzystwie.

— Mam nadzieję, że Ludwik jest zawsze tym samym zacnym Ludwikiem. Biorąc połowę gruntów Żurawna, przyjmie i połowę Towarzystwa.

Pani Balbina uwierzyła w zacość Ludwika.

— Tymczasem puszczamy wieść o milionach mego brata i jego powrocie z Ameryki. Cieszymy się z tego głośno wobec ludzi i wzbudzamy ich zazdrość.

— I cóż z tego?

— Zaczekaj. Jutro jadę do porucznika z rewizytą. Musi przecież wkrótce do nas przyjechać, zdobyć się na krok stanowczy.

— Przypuszczam, że się oświadcza, dzień ślubu naznaczony, na drugi dzień po przyjeździe mego brata. Oparty o półmilionową fortunę porucznika, Guccio powinien dać sobie radę. Nam połowa Żurawna wystarczy. A przy oszczędności i dobrem gospodarstwie powinniśmy mieć tyle, ile dziś z całego obszaru.

Wzruszenie ramion i uśmiech p. Balbiny kazały się domyślać, że żartuje sobie z zapowiedzi męża co do oszczędności i pracy.

— Moja droga — odparł p. Edward na uśmiech żony — będziemy dziedzicami połowy Żurawna. Ty nie będziesz wielką damą ja — wielkim panem. Wierzaj mi, że wtedy dwa tysiące korcy kartofli nie ulotni się. Powstał, chodząc żywo po pokoju.

— A gdy „ci“ przyjadą prędzej, niż się spodziewamy? — rzuciła pytanie p. Balbina.

„Ci“ oznaczało Ludwika i jego córkę.

— Należy ich przyjąć, ugościć i prosić o milczenie do czasu.

— Co my będziemy robić z tą Amerykanką?

Czytałam, że one inaczej nie siedzą, jaktylko zakładając nogi na stół. Podróżują z kawalerami, miewają kazania po ulicach, pojedynkują się.... Piękne towarzystwo dla Jadzi i Guccia!

— Balcu, Balcu — mówił z uśmiechem p. Edward — czyż można tak na słowo wierzyć, co piszą Francuzi w swych romansach? Amerykanki są excentryczne — to prawda, lecz excentryczność podobna się ludziom. Stasia po przyjeździe zaprowadzi Jadzię do ołtarza i sama logika faktów je rozłączy. A co do Guccia, to bądź spokojna: Amerykanki nie zajmują się studentami.

Zapomnijmy o drobnostkach wobec wielkich wypadków. Jutro jadę przez Kraków do porucznika. Stało się nieszczęście: trzeba się starać i wpływ jego zrobić jaknajmniej dla nas dotkliwym.

— Proszę cię tylko: Gucciu nie nie mów. Straszny ten cios mógłby chłopiec odchorować.

— Bądź spokojna, nigdy się zapóźno nie dowie.

Wieczorem, kiedy księżyc cicho płynął przez roziskrzone gwiazdami szafiry nieba, młoda dziewczyna, w białej sukni, przesuwała się jak duch, wśród cieni starych lip i kasztanów. Zobaczył ją z werendy ojciec i pobiegł do niej.

— Moje dziecko, pioruny z jasnego nieba padają! Uwierzyłabyś, gdyby ci kto powiedział, że połowa Żurawna nie jest naszą? Trudno mi oswoić się z tą myślą. Zdaje mi się ciągle, że przykry i ciężki sen mnie męczy.

Dziewczyna westchnęła.

— Czy uwierzysz? — marzyłem, aby cię uwolnić ze szponów porucznika. I miałem nawet nadzieję; lecz dziś, moje dziecko, nie ma punktu wyjścia: trzeba się poświęcić.

— Miałeś nadzieję — jaką, drogi ojcze?

— To moja tajemnica.

— Czy czasem nie chciałeś szukać wujaszka Władysława i jego zamku? Jestem pewną, że dziś nawet dzierżawca-by mnie nie chciał.

— Spróbuj tylko.... Nie jest on chciwy, ani nie ma poziomych instynktów: zapewniam cię.

— A więc jest stokroć lepszy od nas, — pochwyliła żywo dziewczyna.

— Nie tak znowu bardzo — rzekł spokojnie ojciec. — Ma on tylko jedną wyższość nad nami.

— Ciekawam....

— Może i umie pracować: nie boi się więc przyszłości, życia, walki. My nie umiemy pracować: i dlatego jesteśmy tchórze, zdolni do abnegacji i zaledwo czasem do chwilowych poświęceń. Cóż robić?

— Mój ojcze, co do mnie, to gdybym tylko umiała, pracowałabym z rozkoszą.

— Nie zechcesz, zapewniam cię. Nareszcie, upadać nam nie wolno. Cofać się z naszego stanowiska — byłoby nędznie.

— Prawda — rzekła z mocą. — Nie chcę patrzeć na tryumfy moich koleżanek, litościwe spojrzenia naszych przyjaciół i sąsiadów, na te tysiączne upokorzenia, niezręczne docinki. A czego najwięcej nie znoszę, to westchnień i współczucia. Te bolą i pieką jak dotknięcie rozpalonem żelazem.

— Poznają moją córkę, moją dzielną córkę — rzekł ojciec, podając jej ramię. — Jakaś otucha wstępuje we mnie. Zdaje mi się, że te okruchy amerykańskiej fortuny Ludwika, są to okruchy ewangelicznego pięciorga chleba. Owe wycieczki do Londynu i Paryża dużo mi dają do myślenia. Zobaczmy.

A nuż na pierwszego Czerwca wygram wielki los — pomyślał! Fortuna jest ślepa.

Marzył przy akompaniamencie skrzeczenia żab, brzęku chrabąszczy, uspokojony czarami nocy majowej.

* * *

W Krakowie p. Edward pracował, puszczając nieznacznie wieści o przyjeździe brata z Ameryki. Gdy mu wieszowano, uśmiechał się, na pół dziękował, a cieszył się głośno. Guccio, nie domyślając się podstępu, więcej jeszcze spowiadał, zrobił się sztywnym i uroczystym, gdyż był pewny, że takim musi być każdy lord angielski. Z uśmie-

chem radości i dumy wpatrywał się w okna Pod Baranami i w okna dwóch pałaców na ulicy św. Jana. Był pewny swego, czekając niecierpliwie przyszłego karnawału.

Wizyta u porucznika odbyła się podług wszelkich form. Pałac, park a przedewszystkiem stajnie, zachwyciły p. Edwarda. Chwalił, unosił się, tem więcej, że porucznik zmuszał go, do głośnych objawów podziwu nieustannymi pytaniami.

— A co, patrz pan, widziałeś coś piękniejszego w Galicji? Prawda, że to piramidalne, kolosalne! To wszystko mało: ja panu powiem, że to jest *aus dem eff-eff!*

(Dalszy ciąg nastąpi).

PANI D'EPINAY

(La jeunesse de Madame d'Epinaÿ par L. Percy et G. Maugras)

przez

J. I. Kraszewskiego.

Koniec ośmnastego wieku, który zdawał się po ogłoszeniu niezliczonego mnóstwa pamiętników, korespondencji, aktów i dokumentów już tak zbadanym i wyczerpanym dla dziejopisarzy i biografów, że zaledwie prószynki pozostały po nim — dotąd jeszcze obfitego dostarcza materiału do coraz-to nowych studyów. Wszystkie te wybitne osobistości, któreśmy już w nieskończonej liczbie wizerunków i obrazów widzieli i znali, nanowo się nam przedstawiają w świetle często niespodziewanem, jakie rzuca na nie odkrycie nieznanych dotąd korespondencji, notat i t. p.

Wprawdzie główne rysy tych fizioznomii zmieniają się mało — lecz mnóstwo szczegółów wyjaśnia nam charaktery, pobudki, czynności, stosunki ich ze światem otaczającym. Zyskują jedni, tracą drudzy... ale, bądźco bądź — historia epoki się wyjaśnia, a pogląd na nią, coraz chłodniejszy i mniej namiętny, dozwala sądzić sprawiedliwiej, to co było potępieniem niesłusznie lub przechwaleniem nad miarę.

Do postaci tych, które swojemu czasowi nadały piętno i wywarły wpływ potężny na umysły, należy niezaprzeczenie J. J. Rousseau, o którym pisano wiele, a który pomimo to, pozostał do pewnego stopnia zagadką nierozwikłaną. Rozpatrując się w jego życiu, w sposobie, jakim się ukształcił i rozwijał, w tem, co pisał i jak nieszczęśliwymi losami swemi kierował, — niewiedzieć co podziwiać więcej: czy cudowne własną siłą zdobycie potęgi ducha, czy wszystkie dowody słabości jakie jej towarzyszyły?

Coś niemal chorobliwego tkwi w tej organizacyi — która z rzeczywistością, z powszednim trybem życia ludzkiego przejednać się nie może, i w ideałach swych nawet razi genialnymi dźwiękami, obok najszlachetniejszych porywów i marzeń.

Żywot ten filozofa — pod koniec ledwie nie każe przypuszczać, że cierpiał na umyśle i nie był już panem siebie.

Obok innych postaci niewieści, które w spowiedziach i korespondencyi J. J. Rousseau wstępują wszystkie niemal ujemnie i ciemno, pani d'Epinaÿ zajmuje miejsce dość wybitne.

„Ermitage“ owa pustelnia, w której czas jakiś przebył Rousseau w spokoju upragnionym — była dla niego przez p. d'Epinaÿ umyślnie urządzoną. Dzisiaj to dla nas główny tytuł jej do ludzkiej pamięci — ale dla Francuzów pani d'Epinaÿ, jest postacią z innych też względów zajmującą i należąca do plejady tych pięknych, potrosze płochych, dowcipnych kobiet, w które koniec ośmnastego wieku był dosyć obfitym.

P. d'Epinaÿ zostawiła po sobie oryginalne pamiętniki, które parę razy już, ale nie całkowicie i nie dosyć starannie, ogłaszano. PP. Lucyan Percy i Gaston Maugras, w r. 1881, ogłosili nadzwyczaj ciekawą korespondencyą X. F. Galiani — i w niej zetknąwszy się z p. d'Epinaÿ — wzięli myśl poszukiwania nowych materiałów do

jej życia. Z początku mieli zamiar dać tylko wydanie nowe, uzupełnione, jej pamiętników, których odpisy znaleźć się im udało. Później, gdy dokumenta do biografii się pomnożyły, na podstawie ich i pamiętników skreślili, wydany teraz właśnie, obraz młodości pani d'Epina, będący razem ciekawą kartą historii obyczajów w XVIII. (La jeunesse de Madame d'Epina d'après des lettres et des documents inédits, avec un portrait de M-e d'Epina, par Lucien Percy et Gaston Maugras, 8-o 1882, 3 édition, 544 pp.).

Wielka ilość nieznanych dotąd listów jest tu w całości przedrukowana, przemawiających na korzyść pani d'Epina i tłumaczących wiele wypadków życia, które z zeznań Rousseau'a namiętnych, w innym świetle się nam przedstawiały; wszystkie niemal jej sądy—potwierdzają się z innych źródeł i świadczą o trafności, z jaką patrzyła na ludzi—o pobożaniu i wyrozumiałości, o niepospolitych darach umysłu i serca.

Autorowie biografii dzielą na dwie epoki życie p. d'Epina: od dzieciństwa jej—1726—do podróży do Genewy w r. 1757 i od pobytu w tem mieście (1758) do zgonu—1783 r.). Oprócz głównej postaci, już samej z siebie charakterystycznej—wszystkie w związku z nią będące wybitniejsze starannie są nam odmalowane. Część społeczeństwa francuzkiego owej epoki staje przed nami w tym żywocie.

Młodość bohaterki w dosyć smutnych warunkach spłynęła. Zawczasu utraciwszy ojca, wychowywała się przy matce pozbawionej majątku i opieki. Spędziła pierwsze lata naprzemiennie w klasztorze, lub u wuja p. de Bellegarde, obok kuzynki i krewnych, majątkiem i położeniem szczęśliwiej wyposażonych. Jeden z blizkich krewnych przywiązał się do niej; ale z początku o małżeństwie z nim ani mowy być nie mogło—sprzeżeniu mu się długo i szczegółnym tylko składem okoliczności mogło ono przyjść do skutku. Wybór tego człowieka, pod względem majątkowym wiele obiecujący, z powodu płochości jego, rozrzutności, lekkomyślności, był najniezwyklejszym. Pół roku nie upłynęło po ślubie, gdy już mąż jej okazał się takim, jakim miał być do końca; rozrzutnością swą niemal do nędzy doprowadził rodzinę.

Przywiązana w początku do męża, pani d'Epina przez niego samego wprowadzona w świat, który żył tylko zabawą, upojeniem, ciągłym wyszukiwaniem rozrywek, niezawsze godziwych—uległa w końcu ogólnemu w owej epoce zepsuciu; ale, nawet zboczywszy z drogi, umiała przynajmniej zachować poszanowanie, *decorum*, srom niewieści, godność pewną i—nie można jej zarzucić tego bezwstydnego rzucania się ku coraz nowym miłostkom, które w otaczającym ją świecie były tak powszedniemi.

„W w. XVIII—pisze we wstępie biograf—miłość tłumaczyła wszystko, była Bogiem, była królem, i o kobiecie, która przez życie całe wierną została jednemu przywiązaniu, mówiono z poszanowaniem.

„Świat ten elegancki, dowcipny, wyszukanej oglądy form, składał się wogóle z ludzi wolnych od wszelkich zatrudnień przez położenie i zamożność. Jeżeli wyjątkowo niektórzy z tych panów część czasu musieli poświęcać obowiązkom, zostawało im dosć wolnych godzin, które spędzali zawsze w towarzystwie kobiet. Nie było naówczas klubów, pół-świat nie istniał; z drugiej strony, kobiety, co należy zanotować, nie oddawały wizyt, tylko w chwili, gdy wychodziły z klasztoru i miały być wydane za mąż. Naówczas z osób, którym były prezentowane, wybierały te, które się im lepiej podobały, i natychmiast poufałe zawiązywały się stosunki. Takie kółko składało się z gromadki przyjaciół dosyć szczupłej, ale obcujującej z sobą i widującej się prawie codziennie. Obiadowano o godzinie pierwszej, a poobiedzie zajmowało czytanie, przygotowywanie się do koncertów lub komedii, często własnego utworu. Panowie zajmowali się rysowaniem, kobiety haftowały w krosienkach; rozmowa lekka, dowcipna, potraçała o najrozmaitsze przedmioty. Rozstawało się potem, a o piątą zbierano się w teatrze; wychodząc z niego, dobierano sobie towarzystwo do wieczery. Po niej najbardziej rozbawieni,

szli jeszcze na bal lub koncerty, które trwały późno w noc. Nic napozór przyjemniejszego nad podobny tryb życia; ale narażał on ciągle na wielkie niebezpieczeństwa: poufałe obcowanie tysiącem pokus groziło młodym i niedoświadczonym.

Kobiety składające towarzystwo p. d'Epina, wszystkie się odznaczały pięknosciami, wdziękami i talentami. Wśród nich świetniała pani d'Houdetot, panna d'Ette, pani d'Arvy i prezydentowa Meaupou... Taksamo część mężka tego kółka liczyła w sobie ludzi najlepszego wychowania i wykształconego umysłu. P. Francueil, do którego się później przywiązała, opuszczona przez męża p. d'Epina, rysowała pięknie, układała opery, grał komedye, zajmował się naukami i pełnił urząd poborcy generalnego. Markiz St. Lambert, część roku spędzający w służbie wojskowej, pisał poemat; był on wychowawcą naszego króla Stanisława Leszczyńskiego. Markiz Croismare, de Valory, de Jully, vice-hrabia de Vergennes, nie ustępowali im ani talentami, ani przymiotami towarzyskimi. Z głośnych imion w literaturze znajdujemy tu: Rousseau'a, Duclos'a, Grimm'a, barona Holbach i wielu innych, z artystów Jelyotte'a i Rebeli i t. p.

Nie myślano o niczem, oprócz spędzania czasu w sposób jaknajprzyjemniejszy. Wieczery w małym kółku, bale w operze, obiady wytworne, wycieczki na wieś, następowały jedne po drugich... Namiętnie grywano w teatrzykach amatorskich.

Kilka lat tak w upojeniu, zapominając o domowych swych troskach, o opuszczeniu przez męża, spędziła piękna pani, aż zdradzona przez Francueil'a, do którego się przywiązała—sposzregła całą płochość i czczość tego życia bez celu.

Poważniejsi ludzie pociągali ją ku sobie. Zrobiła znajomość ze sławnym Grimm'em, który ocenić ją umiał. „W chwili, gdy się zbliżyła do niego—pisze autor—położenia jej trudności, niedogodności, kłopoty doszły były do najwyższego stopnia. — Opuszczona przez Francueil'a, z którym stosunek jej był wszystkim wiadomy, na pół zruinowana rozrzutnością męża, dręczona nielitościwym obchodzeniem się z nią Duclosa, który chciał zastąpić niewiernego, zdradzona przez pannę d'Ette, spotwarzona przez Diderot'a, który ją ogadywał jako zalotnicę zepsutą i niebezpieczną, czerniona potajemnie przez Rousseau'a, który starał się ją poróżnić z p. d'Houdetot i St. Lambertem—biedna kobieta moralnie i fizycznie była złamaną. Rzuciła się wprawo i wlewo, jak okręt bez steru, próżno szukający przystani.“ Grimm był dla niej opiekunem i zbawcą; radą, doborem towarzystwa—uratował ją.

Stosunek p. d'Epina z Rousseau'em, jest jednym z epizodów jej życia najlepiej znanych, ale najfałszywiej się przedstawiających. „Filozof genewski w tej życia swego epoce, na umyśle i sercu rażony, zgorzkniały—ulegał najdziwaczniejszym przywidzeniom. Opuścił Paryż, poprzysięgłszy że więcej nigdy w nim nie postanie, i wrócił do niego w r. 1770. Celem jego było: naówczas dokończone pamiętniki, których drukować nie miał zamiaru, uczynić zawczasu głośnie, przez odczyty w różnych kółkach. Rousseau chciał wywołać polemikę, pociągał przed sąd osoby, które w pamiętnikach były wymienione. W ciągu zimy r. 1770—1771, odczyty kilkakrotnie się powtarzały, u hrabiny d'Egmont, u Dusaulx... Robiono notaty i wyciągi. Dorat, za zezwoleniem autora, ogłosił z nich ułamki. Wrażenie, w początkach dosyć wielkie, o słabło jednak po jakimś czasie.

W tych pamiętnikach (Confessions) Rousseau w sposób najniewdzięczniejszy dotknął p. d'Epina; rzucił potwarz najniesprawiedliwszą na jej stosunek z Grimm'em; odmalował kobietę, która dla niego była miłosierną i pełną dobroci, jako fałszywą, intrygującą, złośliwą. Doprowadzona do ostateczności, musiała obrażona p. d'Epina uciec się do ministra policyi, który dalszych odczytów zakazał, ale wrażenie ich pozostało.

Skłoniło ono może ją do napisania pamiętników, które długi czas pozostały w rękopiśmie z innymi papierami przekazanymi Grimmowi. Postępowanie Rousseau'a w tej sprawie z kobietą, której wyrozumiałość dla jego dziwactw doszła do ostatniej granicy możliwej, inaczej niż rodzajem

aberracji umysłowej tłumaczyć się nie może. Podejrzliwy, zazdrośny, nieumiejący się przywiązać do nikogo, tworzący sobie widma i fantazyje najdziwaczniejsze—przechodził Rousseau z namiętnego uwielbienia do nienawiści i nawzajem, z dnia na dzień, i bez najmniejszego powodu.

Po długiej niebytności Grimm, z którym byli poróżnieni, powrócił; ułożono, aby ich zbliżyć do siebie. W spowiedziach swych Rousseau się skarży, że zamiast przyjąć go poprzyjacielsku i serdecznie, stawił mu się dumnie i nieprzystępnie. W dzienniku p. d'Epina wcale to inaczej wygląda. „Wieczorem—pisze ona—Rousseau poszedł do mieszkania Grimma, gdy się towarzystwo rozproszyło, winał mu powrotu, pytał o podróż, i rozstając się z nim, wziął go za rękę, dodając: „No—mój kochany Grimmie, żyjmy od-tąd w dobrem porozumieniu i zapomnijmy o przeszłości.“ Grimm rozśmiał się, słysząc to, i odparł: „Przysięgam ci, że to, coś przeciwko mnie popełnił, najmniej mnie obchodzi.“ Rozeszli się potem, a Rousseau nazajutrz miał czoło powiedzić mi: „Powinnaś być pani kontenta, i Grimm także: dosyć się upokorzyłem, aby przypodobać się wam obojgu; lecz jeśli mi to przywróci serce przyjaciela, niebędę żałował.“ Proszę sobie wyobrazić zdziwienie moje, gdy się dowiedziela, jakiego rodzaju było to upokorzenie.“

Wkrótce potem wyjazd do Genewy został postanowiony. Rousseau okazywał się wdzięczniejszym i czulszym niż kiedykolwiek. Dowiedziawszy się o postanowieniu podróży—napisał do pani d'Epina: „Bądź pani pewną, że gdyby nie poraża, wczoraj byłbym u niej... Jestem bardzo niepokojny o jej zdrowie. Zresztą, zdaje mi się, że projekt jest bardzo właściwy. — Bądź zdrowa, droga i najlepsza przyjaciółko; chociaż i ja zdrow nie jestem. Będę najdalej jutro rano.“

W chwili odjazdu odebrał Rousseau, będąc u p. d'Epina, list od Diderota, który z gniewem rzucił na ziemię; zapomniałszy się, że on mógł zdradzić go i okazać p. d'Epina, w jaki sposób pisał o niej do Diderota. Odpowiedź łatwo się dawała tego domysleć, a p. d'Epina, podniosłszy ją i przeczytawszy, oburzona zapytała Rousseau'a: co to znaczyć miało? Nie umiał się wytłumaczyć. Rozdrażnienie wzajemne rosło.

Rousseau na ów list Diderota odpowiada mu: „Jak możesz listy pisane do mnie posyłać przez p. d'Epina? Dwadzieścia razy ci to powtarzałem, że te, które przez jej ręce przechodzą, wszystkie są otwierane. Ostatni doznał też tego losu: miałem przejście okropne. Musiałem, się tłumaczyć, za te niezasażone (?) wyrzuty. Ta kobieta uparcie pragnie być z tobą w dobrych stosunkach; nie przebaczy mi nigdy, żem ci wyjawiał prawdę. Próżno już mówić o tem; między nami wszystko zerwane, skończone,—nie myślę jechać za nią. Jest to dla mnie niepodobieństwem, a ona wcale o to nie dba.“

P. d'Houdetot, nie wiedząc o tem, co zaszło z powodu listu Diderota, nalegała ciągle na Rousseau, aby towarzyszył p. d'Epina. Podejrzliwy podrażniony filozof widział w tem naleganiu tyraniją, intrygę jakąś, i obwiniał o nią p. d'Epina.

W liście do Grimma, Rousseau rozbierając co dla niego uczyniła, do czego był obowiązany—zamiast uznać się dłużnym litościwej kobiecie—wystawiał siebie jaką ofiarę. Grimm odpisał mu jak należało: ostro, potępiając, tak, jak się pisze, gdy się chce zerwać nazawsze. Potępił go wszyscy—z mogły to tylko gniewy. Po wszystkich tych listach, Rousseau, który dotąd mieszkał w Ermitażu, urządzonym przez p. d'Epina dla niego, naturalnie, powinien go być natychmiast opuścić. Tak-by się zdawało.

Zamiast tego napisał tylko list, który wart jest przytoczenia: „Gdyby z boleści umrzeć można, jużbym nie żył—wiem, com postanowił. Przyjaźń pomiędzy nami zgaszona, ale nawet znikłej prawa szanować umiem. Nie zapomniałem o tem, co winienem jej dobroci, i liczyć pani możesz z mej strony na całą wdzięczność, należną osobie, której się kochać nie może. Wszelkie inne tłumaczenie byłoby nadaremne. Sądzię moim będzie sumienie, i panią do niego odsyłam.

„Chciałem opuścić Ermitaż i powinienem to być uczynić, ale utrzymuję (? kto), iż należy mi w nim

pozostać do wiosny, i ulegając woli swoich przyjaciół, pozostanę, jeśli pani pozwoli.

Na to p. d'Epina odpisał:

„w ciągu lat kilku dawałam panu dowody liczne mojej przyjaźni i życzliwości; dziś pozostaje mi tylko litować się nad nim: jesteś bardzo nieszczęśliwym. Życzę, aby jego sumienie tak było spokojne jak moje; przydałoby się to do zapewnienia mu spoczynku w życiu. Ponieważ pan chciał i powinien był opuścić Ermitaż, dziwi mnie, że go przyjaciele od tego wstrzymywali; co do mnie nigdy swoich obowiązków nie uczył się od nikogo, i nie mam nic więcej do dodania w tym przedmiocie.“

Wszyscy zgodnie potępili niewytłómaczone, upokarzające go, postępowanie Rousseau'a, St. Lambert, p. d'Houdetot, nawet Diderot, zerwał z nim wkrótce i stał się przyjacielem p. d'Epina.

Ale epizod pozostał w *Spowiedziach* i potwarz dla tych, co pobudek jej nie znają, przygła do kobiety, która nie była dość silną i szczęśliwą, aby ją z siebie zrzucić.

Nie od jednego zresztą Rousseau'a doznała biedna, zbyt dobrego serca, żywego umysłu, dająca się łatwo złudzić i pociągnąć p. d'Epina—zawodu i niewdzięczności: potrzeba czytać ciekawą tę historią, tak dobrze nas wtajemniczającą w obyczaje w XVIII-go, aby poznać społeczeństwo poprzedzające bezpośrednio te, które tragicznie później miało się odznaczyć wobec terroryzmu i gilotyń... Kontrast tej lekkomyślności, wesela, płochości, która o jutrze nie wie i wcale się nie troszczy o nie — z okropnościami dni następnych jest jakby na umyślnie stworzonym, aby wrażenie było tem większe...

„Après nous le déluge“ — mówił Ludwik XV; nie odgadł tylko, że potop ten krwawym miał być i że w nim stara Francja na wieki zatonać miała.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Ustrój i postać tarczy księżycowej.

(Dalszy ciąg).

Popielaty ów połysk powstaje wskutek gry światła i cieni na nierównościach powierzchni księżycy, pokrytych niekiedy lekkimi mgłami.

Taki widok mórz, a zwłaszcza też morza *Serenitatis*, przypomina morską kotlinę, tem więcej, jeżeli zwrócimy uwagę na okolenie jej krawędzi spadzistymi skałami, z ich niezliczonymi, wysuniętymi ku morzu, wąwozami. Częstokroć morza takie łączą się z sobą i łożysko ich dosięga znacznej głębokości, inne zaś nie mają z sobą żadnego związku. Od strony północno-wschodniej Apeninów w księżycowych wykryto kilka wąwozów, których stoki obniżają się ku innej górze, przypominając alpejskie wąwozy górskie, wytworzone przez wylew wód.

Wogóle wstępne studia dotyczące olbrzymich mórz księżycowych, są dla badacza wielce ciekawe i pojętne; wzrok jednak jego, jak się słusznie Juliusz Schmidt wyraża, sięga chętniej do dolin księżycowych, pociągających tajemniczym wdziękiem, niż w wyżyny górskie, nekające oczy. Skupione ku sobie kolosalne kraterki jednakowych, do znudzenia powtarzających się, kształtów, zmiany światła i barw, męczą go i spocząć oku nie pozwalają.

Z długoletnich badań tych popielatych kotlin Schmidt przechodzi do wniosku, że są one łożyskami prastarych mórz księżycowych. Hypoteza jego może nie pozyskać prawa obywatelstwa w nauce, z powodu braku udowodnienia przyczyn, które wpłynęły na zniczenie oceanów księżycowych; przeszkody jednak w przyjęciu tej hipotezy nie są nieprzezwyciężonymi. Neison wykazał prawie zupełny zanik atmosfery księżycowej i brak wód w oceanach.

W wierzchnich warstwach powierzchni ziemi, powiada on, znajdujemy liczne części składowe

pierwotnych oceanów naszej planety i atmosfery, które, z wolna przekształcając się, przedstawiły rozwój obecny. Z połączonego działania elementów w powierzchni ziemi, oceanów i atmosfery, wykształtowała się skorupa ziemska, w której zawarte są ogromne ilości wody i składniki atmosferyczne, stanowiące elementarne części pierwotnych oceanów i atmosfery ziemskiej.

Podobne zjawiska zajęć mogły i na księżycu, z tą wielką jednak różnicą, że w owej geologicznej chwili jego formacji, powierzchnia księżycy, w stosunku masy jego do kuli ziemskiej, sześć razy była większą od powierzchni ziemi, a temsamem, że zanik oceanów i atmosfery musiał nastąpić nierównie prędszej i z sześciokrotnie większą siłą.

Zastanawiając się nad możebnością takiego procesu na ziemi, przypuścić możemy z pewnym prawdopodobieństwem, że tą drogą na księżycu, tak atmosfera, jak i oceany, zaniknąć mogły.

Co do tej hipotezy zaznaczyć winniśmy, że wielu geologów na podstawie swych spostrzeżeń utrzymuje, iż masa wód morskich rozlanych na kuli ziemskiej, zmniejsza się; z czego wnioskują, że ziemia przechodzić będzie teżsame fazy, co księżyc, i ostatecznie, również jak tam, zaniknie i tu woda i atmosfera.

Wielkie morza, a raczej kotliny morskie, księżycowe, są zwykle barwy ciemno-popielatej; najciemniejszym odcieniem tej barwy odznacza się morze *Crisium*, lecz nie jest on jednostajnym, w czasie bowiem pełni księżycy, silniej oświetlone morza te przedstawiają barwy przeróżne: to jaśniejsze, to ciemniejsze, przyjmując wygląd mozaikowy. Jasne pasy, przerywane morza księżycowe, godne są osobliwszej uwagi. Zrazu sądzić-by można, że przedstawiają one pasma górskie; byłoby to jednak błędem mniemaniem, gdyż w czasie utrzymywania się słońca w niskim położeniu nad horyzontem, nie dostrzegamy nawet śladu cienia. Jeżeli gdziekolwiek cień się przejawia, przekonywamy się wkrótce po dokładnym jego zbadaniu, że pochodzi on z pobliskiej wyniosłości sąsiedniej owym jasnym pasmom, lecz nie od nich bynajmniej pochodzi.

Jasne te pasma zdają się pozostawać w pewnym związku z obrączkowymi górami, o których niżej powiemy, gdyż z nich, jak z ogniska, występują promienie. Wogóle jasne części powierzchni księżycy wskazują nam jego góry, ciemniejsze zaś — doliny. Zdarzają się jednak w tej mierze wyjątki, gdyż niekiedy ciemne części napotykaemy w górach księżycowych, koloru sąsiedniego im morza, jakby cząstka jego tam się zbłąkała. Łańcuchy górskie rzadko się przejawiają na księżycu; natomiast występuje często opoka skalista, zbita, ściśła, w stoku ku morzu uwidoczniająca olbrzymią krawędź górską.

Takimi łańcuchowymi górami są księżycowe Apeniny, które w bliskości morza *Vaporum* przedstawiają się w postaci rozległych równi, ze stromem wszakże ku górze *Salus* pochyleciem; szczyty ich dosięgają 6,000 metrów wysokości. Górski ten krajobraz w czasie pierwszej kwadry, w dalekoosnej lunecie, imponuje wspaniałością; majestatyczne urwiska stoków kolosalnej góry dają obraz przepyszny, z którym nie da się porównać żaden z wybitniejszych objawów przyrody ziemskiej. Wkrótce po zachodzie słońca wyniosłe szczyty górskie, do olbrzymich wież podobne, odrzucają podługowate, czarne ostre swe cienie na odległość wielu a wielu mil na sąsiednie doliny. Wielce osobliwą i tajemniczą formacją powierzchni księżycy tworzy 14 mil blisko długa, a na 1,000 stóp wyniosła, stroma krawędź skalista, która od wschodu obrączkowej góry *Thebit* okrąży ją i nagle ku dolinom się obniża. Najwidoczniej okazuje się to zjawisko w kilka dni po pierwszej kwadrze, ponieważ się przedstawia w postaci sznura wąskiego, czarnego. Zapomocą wielce silnych teleskopów, dostrzegamy na wierzchołku tej krawędzi, ponad brzegiem przepaści, kilka małych stożkowatych kraterów i pagórków. Do osobliwości księżycy należą odosobnione góry wyniosłe, sterzące. Typ ten przedstawia góra *Pico*, wyniosła na 2,000 metrów ponad otaczającą ją płaszczyznę. W świetle słonecznym błyszczą ona rażącem bla-

skiem, a od strony zachodniej zaledwie widnieją kilkanaście małych kraterów, wraz z pasmami górskimi. Okazałym też cyplem skalistym jest góra *Lahire*, mająca około 1,500 metrów wysokości. Niekiedy i ta, światłem słonecznym obrzucona, błyszczy przesłannie rażącym niebieskawym blaskiem, niby gwiazda, zwłaszcza jeżeli wynurza się przy schyłku nocy, to jest w czasie blizkim wschodu słońca. Charakterystyką powierzchni księżycy, odróżniającą ją wielce od ziemskich utworów, są przepaście okrągławe, bardzo liczne, otoczone płaskimi spadzistymi krawędziami.

Okazalsze utwory tego rodzaju, które górami obrączkowymi nazywamy, otoczone są rozległym, często tarasowym spadzistym wałem, kształtu kołistego, w wielu razach wyźbionym, w środku którego rozpoznajemy jedną lub kilka gór, które jednak nigdy do wysokości wału nie sięgają.

Stoki zewnętrzne tego wału mają spadek łagodny, stopniowany, natomiast wewnętrzne są wielce strome, a łożysko zakłęsłe góry pozostaje poniżej poziomu powierzchni księżycowej.

W wielu razach mieszcząca się wewnątrz wału podwalina gór obrączkowych leży tak głęboko, że nawet jej szczyty nie dosięgają powierzchni księżycy. Te regularne, jednostajne kształty wałów gór obrączkowych znikają przy użyciu szkieł znacznie powiększających; z dalszego jednak biegu obserwacji okazuje się, że owe wały poprzerywane są w wielu miejscach wąwozami i pokryte małymi wzgórkami oraz kraterami, linia też grzbietu wałowego nie przedstawia się całkiem okrągławą, lecz wielokątną.

Niektóre góry obrączkowe położone są wśród rozległych kotlin morskich, popielatej barwy, inne najczęściej rozparte są na płaskowzgórzach, i takimi głównie południowa półkula księżycy jest zasłana. Góry te gdziekolwiek tak są ze sobą skupione, że niema między nimi przestrzeni na wytwór wału.

Odmieniami całkiem od gór obrączkowych, wielkością i złożonym wielce ustrojem, są równiny wałowe, o których rzecz-by można, że w pewnym stopniu tworzą przejściowe ogniwo między kotliną morską a górą obrączkową. Mądler taką daje ich charakterystykę: Równiny wałowe od 8 lub 10 do 30 mil średnicy mające, rzadko są opasane jednym tylko wałem; najczęściej bowiem otacza je dość zakłębiony systemat gór, których grzbiety, w związku z sobą pozostające, uwidocznione są wyraźnie, jak to dostrzedz można na górach *Arrachel* i *Posidomus*.

Z obu stron owych grzbietów, częściej jednak od ich strony zewnętrznej, występują skarpy niekiedy wał przewyższające, jak to ma miejsce na górze *Hevel*, gdzie tworzą wyniosłości olbrzymie, górom dorównujące. Od wewnętrznej zaś strony owych grzbietów, skarpy są niskie, osadziste, ściśle ze sobą spojone.

Niekiedy, jak, na przykład, w górach *Posidomus* i *Schiller*, wały przez wewnętrzne płaszczyzny ciągną się poprzecznie, a następnie odosabiają od siebie, jak to widzimy na górach *Phorilides*, *Licetus* i *Boussingault*. Zdarza się też, że wewnętrzne płaszczyzny wałów są jednostajne, jak to dostrzedz się daje na górach *Platona* i *Archimedes*; gdzieindziej znów, jak na przykład, na górze *Hipparch*, równiny wałowe przez góry i kraterki bywają poprzerywane, zbaczając mniej więcej od kształtu krążkowego.

W górach *Sasserides* i *Orontus* ukazują się nam one w postaci odosobnionych części, które się wskutek zacieśnionej między nimi przestrzeni, w jedną całość łączą. Poziom głównego grzbietu wału rzadko tylko uwydatnia wielkie nierówności dla oka dostępne. Z wyjątkiem niektórych, mniej lub więcej wysuniętych, szczytów, te grzbiety górskie zwykle ciągną się w jednostajnej wysokości i szerokości. Ścisłsza jednak obserwacja wykazuje znaczne w tej jednostajności różnice, tam zwłaszcza, gdzie równinę wałową otacza, z jednej strony płaskowzgórze lub góra, z drugiej — morze. Zdarza się też, że z jednej strony wału ukazuje się rodzaj bramy wąskiej, wąwozowej lub osadzistej, jak to dostrzegamy na górze *Posidomus*, albo też szerokiej, aż do powały pogłębionej, zajmującej szóstą, czwartą, a nawet trzecią część całego obrębu wałowego, jak to ma

miejsce na górze *Fracastor*. W tym ostatnim razie, znajdujemy słaby ślad zaledwie ciągnącego się wału, jak, na przykład, na górach *Le Monnier* i *Doppelmayer*, lub też odosobnione jego szczyty, w ten sposób, że cała ta formacja z jednej strony zbliża się do równin wałowych, z drugiej do gór obrączkowych, jak o tem przekonywa góra *Pilatus*.

Istnieją też równiny wałowe, a mianowicie na górze *Hevel*, z wypukłymi ścianami, a niemniej na innych, i takie, których wnętrze posuwa się ku zewnętrznej krawędzi krateru. Równiny wałowe, a więcej jeszcze góry obrączkowe, z pierwszego rzutu oka zdają się być utworami wulkanicznymi i niektórzy badacze, nie wdając się w bliższe określenia, zestawiają je z naszymi ziemskimi wulkanami.

I tak, Nasmyth i Carpenter, którzy na podstawie długoletnich swych badań, zdjęli przepyszne krajobrazy księżycyca, utrzymują, że góry obrączkowe powstały z wulkanów. Według ich poglądu, dowodem wulkanicznego pochodzenia owych gór, są trzony środkowe kraterów, będące charakterystyczną cechą ziemskich wulkanów. Wnioskuje się z tego, że owe trzony są ostatnim śladem siły wybuchowej; wytworzonemi zaś miały być według ich opinii, wskutek tego, że materje wulkaniczne dla braku siły, nie mogąc być wyrzuceniami, osiąść musiały wokoło otworu kraterowego.

W mniejszych kraterach księżycowych trzon ich środkowy nierównie większe przedstawia wymiary, niż zestawiany z nim trzon kraterów ziemskich, gdyż dosięga 16 mil w średnicy. Właściwie więc, niema linii granicznej między wulkanami a niewulkanicznymi górami, i nie może ona istnieć dlatego, że znajdujemy wszystkie przejściowe ognia w formacji.

Według poglądu Schmidta, podobieństwa zachodzące między górami obrączkowymi księżycyca a wulkanami ziemskimi, są tylko pozorne; na ziemi nie znajdujemy zresztą żadnych utworów, któreby można było naprzykład porównywać z górami obrączkowymi *Kopernika* lub *Gassendiego*.

Porównywanie krajobrazu księżycowego z Czechami, upodobane przez dawniejszych badaczy, jest najzupełniej bezzasadne; eo najwięcej można by dołynie *Kaszmir* w Himalajach istniejącą, porównywać z obrączkowymi górami, lecz i to zestawienie nie byłoby szczęśliwem.

Ze swej strony Mädler żadnego podobieństwa nie upatruje między górami obrączkowymi a wulkanami ziemskimi. Wszelkie formy kraterów księżycowych, jak trafnie on zaznacza, pozwalają dostrzec swą łożyskową głębię, w otworze zaś kraterów ziemskich wyłącznie tylko czeluści ich jest widoczna.

Jeziro *Lauch* w bliskości *Andernach*, Góry *Albańskie* w okolicach *Rzymu*, niektóre kotłiny jezior stepowych, porównane z typem utworów księżycowych, nie przedstawiają z nim najmniejszej analogii. Na ziemi utwory te zajmują wielce podrzędne stanowisko, schodzą na dalsze plany, wskutek miejscowych warunków; gdy tymczasem na księżycu utwory podobne występują imponująco na plan pierwszy. — *Selenita*, jak nazywamy hypotetycznego mieszkańca księżycyca, uzbrojony w nasze dalekonośne lunety, próżnoby się silił odnaleźć na ziemi coś podobnego do utworów księżycowych: *Higinusa*, *Dollonda* lub *Silberschlagu*, a mniej jeszcze do góry obrączkowej *Kopernika*, *Tycho* lub *Bullialdusa*.

Pewne podobieństwo do gór obrączkowych znalazłby tylko, i to przy użyciu silnych teleskopów, w pasmach Gór *Malediwickich Atolle*, na Wyspach *Koralowych* i w kotlinie *Jeziora południowego* tychże wysp; wszelako podobieństwo to byłoby wielce słabem.

Upatrywane przez Nasmytha i Carpentera wielkie podobieństwo trzonów gór obrączkowych do trzonów wybuchowego pochodzenia naszych wulkanów ziemskich, redukuje się wistocie do małej między nimi analogii.

Trzony księżycowe są często powikłanymi systematami górskimi, a objętość ich przenosi wielokrotnie objętość kilku razem wziętych wulkanów ziemskich.

W rezultacie nie znajdujemy w górach obrączkowych stoków właściwych ziemskim wulkanom,

zewnętrzny bowiem spadek gór obrączkowych przedstawia pochylenie od 3 do 8 stopni, jest więc niezmiernie łagodnym.

(Dokończenie nastąpi).

DROBNE LISTKI.

Humor i Patos Dickensa. Pod tym tytułem wyszła w Londynie książka, będąca wyborem najcenniejszych ustępów z dzieł znakomitego powieściopisarza.

Najmniej małżeństw w stosunku do ludności zawiera się w Szwecyi, Szkocyi i Szwajcaryi. Według ostatnich obrachowań, na sto dorosłych mężczyzn jest w Szwajcaryi żonatych 49, a na sto dorosłych kobiet 38. Przytem Szwajcaryja jest krajem najczęstszych rozwodów i największej liczby osób rozwiedzionych. Bern tylko okazuje przewyżkę pod tym względem, ale jest to miasto, gdy w Szwajcaryi podlega temu kraj cały. Przyczyną tego są mieszane małżeństwa katolików i protestantów, względy religijne, które w czasie małżeńskiego pożycia a głównie wychowania dzieci, różnią małżonków. Rozwody są też owiele częstsze w klasach niższych, niżeli wyższych, ukształconych, gdzie przeciwnie rozwód uważany jest za skandal i przynosi rozwodnikom taką ujmę w opinii, że bardzo często rozwiedziona para, a przynajmniej strona, która okaże się winną, zostaje wykluczona ze stosunków towarzyskich. Po Szwajcaryi najwięcej rozwodów jest w Saxonii; Berlin przecież jest miejscem, gdzie najwięcej z całej Europy rozwodzi się ludzi z przyczyn złych obyczajów. Najmłodsza z wielkich stolic prześcignęła pod tym względem wszystkie inne. Według liczb, podanych przez Biuro Statystyczne w Bern, 1881 roku zawarto w Szwajcaryi 1.171 małżeństw, a wystąpiło z podaniem o rozwód 946. Był też ten rok liczący się do najgorzej w kronikach Szwajcaryi, tak pod względem rozwodów, jak i pod względem sporów religijnych między katolikami i protestantami. W 1880 roku było 1.069 małżeństw zawartych, a 856 spraw rozwodowych. Wedle danych z 1881 r. rozwody układały się tak: tam gdzie mąż i żona oboje katolicy, rozwodów było tylko 0.7 na sto; mąż i żona protestanci 2.8 na sto; mąż katolik, żona protestantka, 3.2 na sto; mąż protestant, żona katolicka 4.5 na sto. Załączona tu jest przytem ze strony Biura Statystycznego uwaga, że wielka łatwość rozwodów w prawodawstwie szwajcarskiem, jest główną przyczyną takiego stanu. Bardzo wiele małżeństw między klasami niższymi zawiera się w Szwajcaryi: *na próbe*. Narzeczeni powiadają sobie spokojnie, że jeżeli będzie im razem źle, po roku rozwiodą się na zasadzie „niezgodności charakterów“.

Papież, jak donoszą dzienniki włoskie, pisze encyklikę przeciw rozwodowi i ma się w niej zawierać odezwa do kobiety, traktującej w bardzo szlachetny i wzniosły sposób rzecz: o przyjaźni dwóch dusz chrześcijańskich. Leon XIII wystosował też ostatnimi czasy do bibliotekarza Watykanu i archiwisty Stolicy Apostolskiej wezwanie, aby tak biblioteka Watykańska, jak i archiwa zostały otwarte dla wszystkich bez wyjątku uczonych i literatów wszelkich narodowości i wyznań, którzyby chcieli czynić tam poszukiwania. Tłómacząc powód tego postępku, Leon XIII pisze: „Historja poważna, na źródłach oparta, stanowi najlepszą apologią papieżstwa“. Dalej dodaje, że nieprzyjaciele Kościoła fałszują dzieje, chcąc wykazać, że papieżstwo, świecka władza papieży, była szkodliwa dla Włoch, gdy przeciwnie, było to dobrodziejstwem. Zatem pragnąc, aby na sprawę tę padło jasne i prawdziwe światło, zaleca wszystkim, od których to zależy, a szczególnie rzymskiemu prefektowi Kommissyi Nauk, aby studia historyczne były wszelkimi możliwymi sposobami popierane.

Wenecya, stawszy się znów włoską i szczęśliwą, wskrzesiła dawny swój gieniusz żywej i energicznej czynności, odżył też w niej nanowo ów

przemysł artystyczny, który niegdyś czynił ją na świat sławną, a który upadł zupełnie, podczas panowania tu Austrii. Wicekonsul miasta, *Zuccato*, podaje świetny obraz tego spełniającego się dziś odrodzenia, które obejmuje: fabrykacją szkła i luster, tak niegdyś wysoko cenionych, a dziś pysniejszych jeszcze przy połączeniu dawnych artystycznych tradycji i nowoczesnych technicznych postępów, wyrób mozaiki, kolorowej emalii, majoliki i terra-cotty, wreszcie naśladowanie starych koronek, naśladowanie tych dawnych brokateli i adamaszków, gdzie jedwab, złoto, srebro, łączyły się ze sobą w tak pysznie piękne kombinacje barw i wzorów, że Dożowie posyłali sztuki takich materij w darze zagranicznym monarchom. Wszystko to zaginęło w Wenecyi i dopiero z powiewem nadziei poczęło odzywać od 1857 roku. Jeden tylko przemysł, którego nikt nie umiał nigdy naśladować i ubiedz w nim Wenecyi: fabrykacja sztucznych pereł i dętek szklanych, przetrwała wszystkie ciężkie losy Wenecyi, dając trochę grosza i chleba jej ubogiemu ludowi. Dziś zajmuje ona piętnaście tysięcy ludzi.

— **Wystawa Lutra** urządzona w gmachu Londyńskiego *British Museum*, jako dodatek do uroczystości czterechsetnej rocznicy urodzin tego reformatora, którą Niemcy obchodzili uroczystościami w Erfurcie i Wartburgu, zawiera niezmiernie ciekawe pamiątki historyczne: książki, sztychy, medale, autografy i rękopisma odnoszące się do historii Lutra. Są tam jego autentyczne listy pisane po łacinie do Karola V (*Wittemberga*, 30 Sierpnia 1520) do *Tomasza Kromwella*, (*Wittemberga*, w *Niedzielę Palmową* r. 1536). Jest także autentyczny list *Erazma* z *Roterdamu* pisany z *Bazylei* 24 Grudnia 1525; kopia współczesna po hiszpańsku, deklaracyi jaką *Karol V* wystosował przeciw *Lutrowi* w r. 1521. Znajdują się również medale panujących i wielkich mężów owego czasu: *Henryka VIII-go*, *Karola V-go*, *Leona X-go*, *Fryderyka Mądrego*, *Jana z Leydy*, *Lutra* i innych, ryciny przedstawiające: *Melanchtona*, *Erazma*, *Jana z Leydy*. Łączą się z tem starożytnie wydania dzieł *Lutra* i innych traktujących o nim i jego nauce. Zajmuje to wielką salę o sześciu ogromnych witrnach.

— **Katedra w Ulm**, arcydzieło stylu gotyckiego i razem największy, jaki istnieje kościół protestancki, jest już na ukończeniu. Wieża ma, jak pisał dzienniki, przewyższyć wszystkie wieże kościołów świata.

— **Ksiądz Irlandzki** *Kirk Hobart*, doktor filozofii i członek *Dublińskiego Uniwersytetu*, wydał po angielsku broszurę: „*Lekarski język S-go Łukasza*“. Ksiądz *Hobart* studiował pracowicie *Ewangelią S-go Łukasza* i *Akta Apostolskie*, aby znaleźć w nich ślad lekarskich wiadomości *S-go Łukasza*, przyczem odkrył w jego pismach znaczną liczbę wyrazów i lokucyj obcych, nieużywanych przez innych *Ewangelistów*, ani też klasycznych pisarzy epoki, które przecież znajdują się u *Hippokratesa* i innych starożytnych pisarzy medycznych Grecyi.

— **Trzydzieści tysięcy Indian czerwonoskórych** przyjęło *Christianizm*. Połowa z nich należy do sekty *Baptystów*, bardzo rozpowszechnionej w Ameryce.

— **Uniwersytety amerykańskie** usiłują okazywać takisam szacunek dla wolności myśli w nauce, jak w religii. Katedrę ekonomii politycznej na *Uniwersytecie* w *Cornell* zajmował profesor, będący stronnikiem wolnego handlu; otóż władze uniwersyteckie otworzyły jednocześnie wykłady miewane przez profesora protekcyjnistę, aby studenci mogli wybierać wedle chęci między dwiema doktrynami. W *Kollegium* *Wiliama* w *Massachusetts* stało się to w sposób nieco odmienny. Professor wykładający ekonomią stał także po stronie wolnego handlu; pewna liczba studentów zaprotestowała i senat uniwersytecki postanowił otworzyć współczesne wykłady z ideą protekcyjnistów.

— **Złotopióre ptaszki** troskliwie chodowane są w Ameryce i oto pisma *Nowyorekie* donoszą, jaki to pociąg specjalny został przez *impresario* *Mapleson* zbudowany dla *Adeliny Patti*, mającej pójść się na artystyczną wędrowną po Ameryce.

Pociąg składa się z trzech przeogromnych wagonów, z których jeden jest przeznaczony wyłącznie dla samej divy, gdy dwa drugie pomieszczą jej dwór i towarzysztwo. Wpółrodku wagonu Patti znajduje się trzydziści i pół stopy długi salon, cały z kolorowego drzewa i wyciskanej skóry, z bogatymi sztukateriami i ozdobami, w których złocenia zaznaczają się przeważnie. Krzesła i kanapki są pokryte gobelinami, firanki i portiery także gobelinowe z dodatkiem aksamitu i atlasu. Po dwóch stronach salonu znajdują się dwa, na pobożny kurrytarz wychodzące pokoje, z których jeden, gabinet, wybity jest wyciskaną skórą, drugi sypialny, przybrany materyą jedwabną, niebieską ze złotem. Z sypialnego pokoju wychodzi się do gabinetu toaletowego i łazienki, gdzie znajdują się wszystkie potrzebne przybory z największym wyszukaniem dobrane. Kurrytarz prowadzi dalej do pokoju, gdzie służba na dzwonek pani czeka i dalej jeszcze na drugą stronę do pokoju jadalnego i gabinetu panny służącej. Wagon cały jest długi na pięćdziesiąt cztery stopy; drugie dwa wagony są jeszcze obszerniejsze: sześćdziesiąt cztery stopy długie; w dzień przedstawiają się jak eleganckie salon-wagony, przemieniające się za nadejściem nocy prawdziwie cudownym sposobem na wagony sypialne. Gdy dzień nadejdzie, wszystko co stanowiło wygodną sypialnię znika tak, jakbyby to była w teatrze zmiana dekoracji.

Dary otrzymane od stryja papieża, przez młodą p. Kamillową Pecci, są obecnie ciekawie oglądane przez arystokrację rzymską. Składają się one z dwóch części: z darów pobożnych i darów świeckich. Do pierwszych należy znakomicie piękna mozaika, odtwarzająca obraz Rafaela „Madonna della Sedia“ i dwa różańce: jeden z lapis-lazuli, drugi z rubinów, oba w oprawie złotej. W drugiej części, świeckiej, znajduje się znowu mozaika wysokiej artystycznej wartości, przedstawiająca krajobraz Kampanii Rzymskiej, następnie przepyszny garnitur z brylantów rzadkiej wartości: dyadem tworzący koronę hrabiowską, naszyjnik, bransoleta, kolczyki i pierścienie. Obie mozaiki pochodzą z watykańskiej pracowni mozaik, którąto starorzyską sztukę Leon XIII bardzo usilnie stara się do dawnej świetności przywrócić. Panna młoda, jeszcze jako Sylwia Bueno y Blanco, otrzymała w wiliu ślubu od nuncjusza paryżkiego, który jej nazajutrz ślub dawał, kosztowny podarek: Zaslubiny Najświętszej Panny, z emalii na brzoźnie złoczonej—zabytek starożytny z czasów najszlachetniejszego rozkwitu sztuki włoskiej. Gdy po ślubie państwo młodzi wraz z orszakami weselnymi udali się do domu rodziców oblubienicy, ładnego pałacu Bueno y Blanco na bulwarze Malesherbes, a który zręczna ręka paryżkich dekoratorów przemieniła na uroczystość weselną w czarowany ogród, kwitnący milionem kwiatów; goście po uczcie weselnego śniadania, podziwiali niezliczoną ilość bogatych darów, przysyłanych młodej pani z Hiszpanii, Hawany i Rzymu. Hrabina Sylwia odbierała je głównie jako synowica papieżka i same w sobie stanowią już one majątek. Rodzina Bueno y Blanco dała jej przytem w posagu siedmioroć stotysięcy franków i wyprawę za sto pięćdziesiąt tysięcy franków.

Biblioteka Laurentiana we Florencji kryła w szufladach starożytnych szaf swoich drogocenny zabytek, przypadkiem odkryty: manuskrypt zawierający wiele rysunków ornamentacyjnych, dokonanych piórem i ołówkiem. Rękopismo, pisane bardzo pięknie, jest traktatem o fortyfikowaniu miast, mierzeniu przestrzeni, urządzaniu parków artylleryi, wreszcie o formie i proporcjach spad i lekkich mieczy. Książka jest podpisana Cell. Flor. i niewątpliwie jest to dzieło Benvenuto Cellini.

Wejście Krzyżowców do Konstantynopola, pysznie świetny melodramat, pisany pendzlem De lacroix, wystawiony był poraz pierwszy na wi-

dok publiczny w paryżkim Salonie 1841 roku; następnie zaś umieszczony w galerii wersalskiej, został obecnie przeniesiony do Luwru; w Wersalu zaś, na miejscu które zajmował, zostanie zawieszona kopia, którą ministeryum sztuk sporządzić każe.

Orkiestra króla Kalakua, władcy Wysp Sandwich, dająca obecnie koncerta w San-Francisco, zamierza przybyć do Europy. Składa ją czterdziestu muzyków, wszyscy są krajowcami, ale dyrektorem jest Europejczyk, Niemiec, Henryk Berger, niegdyś oboista w pułku gwardyi króla pruskiego.

Głuchoniemy malarz niemiecki, Ginsberg, który zginął wśród walących się gruzów Ischii, zosta-

wił po sobie półtora miliona marek majątku, który odziedziczył niespodziewanie, utrzymując się dotąd z pendzla. Pierwszem i ostatniem użyciem otrzymanej nagle fortuny, był wyjazd do Włoch i wycieczka na Ischią. Biedak, może w godzinę śmierci uczuł nagle rozwiązujące się usta swe nieme i przemówił—umierając.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się początek powieści pod tyt.: *Książęce gniazdo*.

OD WYDAWCY.

Bluszcz wychodzić będzie w przyszłym kwartale pod dotychczasową Redakcyą i na tychsamych warunkach.

Drukująca się obecnie powieść pod tytułem:

POLKA I AMERYKANKA

przez SEWERA

ukończoną będzie w przyszłym kwartale.

W dodatku powieściowym rozpoczętym został druk powieści pod tytułem:

KSIAŻĘCE GNIAZDO

przez H. GREVILLE, przekład z francuzkiego.

Warunki prenumeraty:

Wydanie I.	Wydanie II.	Wydanie III.
„Bluszcz“ ze wszystkimi dodatkami i wzorami ubiorów i robót w dotychczasowej formie.	Z dodaniem prócz zwykłych dodatków jeszcze dwa razy na miesiąc mody kolorowanej.	Z dodaniem prócz zwykłych dodatków jeszcze do każdego nr. mody kolorowanej, oraz co miesiąc Zefiru.
W Warszawie:	W Warszawie:	W Warszawie:
Miesięcznie kop. 60	Miesięcznie kop. 75	Miesięcznie Rs. 1
Kwartalnie Rs. 1 kop. 80	Kwartalnie Rs. 2 kop. 25	Kwartalnie Rs. 3
Na prowincyi i w Cesarstwie:	Na prowincyi i w Cesarstwie:	Na prowincyi i w Cesarstwie:
Kwartalnie Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie Rs. 3	Kwartalnie Rs. 4
Półrocznie Rs. 5	Półrocznie Rs. 6	Półrocznie Rs. 8
Rocznie Rs. 10.	Rocznie Rs. 12	Rocznie Rs. 16

Listy i korespondencje pieniężne uprasza się adresować do wydawcy.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca, Ulica Królewska Nr 5.

KSIEGARNIA NAKŁADOWA MICHAŁA GLÜCKSBERA

o r a z

REDAKCJA PISMA

BLUSZCZ

przeniesione zostały

na ulicę Królewską do domu № 5 nowy.

TREŚĆ. Nowa kwestya wychowawcza, (dalszy ciąg), przez M. Ilnicką. — Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Pani d'Epinau przez J. I. Kraszewskiego. — Z działu przyrody (dalszy ciąg). — Drobne listki.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 Сентября 1883 года.